Nro 10.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 7 maja 1846. **Rok siódmy.**

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 22 kwietnia 1846.

Stroje damskie. Stroje które mają się ukazać w *Longchamps*, a które najbardziej ściągnęły naszą uwagę są następujące: suknia morowa ciemnozielonego koloru, której przód ubrany frędzlami i korunkami w kształcie fartuszka; stanik u tej sukni gładki, kończasty i rozwarty w dole, na piersiach mocno wycięty a wysoko zachodzący na ramionach; rękawy gładkie, na wierzchu ręki rozcięte w kształcie podkowy i obszyte wkoło frędzlą i bogatą korunką. Suknia z surowego fularu, której spodnica obszyta czterema rzędami szerokiej frędzli, z gładkim stanikiem, wysoko zachodzącym na ramiona otwartym przez całą swą długość i z wyłogami wkoło frędzlą obszytemi. Suknia z materii *poult de soie*, popielatego koloru dwoma szerokiemi korunkowemi ubrana falbanami i axamitkami czarnemi; stanik gładki, bardzo wysoko zachodzący, mocno kończasty; rękawy z wyłogami, axamitkami obszywane. Suknia z indyjskiego muszlinu której przód cały korunkami wyszywany; nakoniec suknia z chińskiej materii błękitnego koloru, ściągnęła na siebie wszystkich uwagę nowością materii i nowym pomysłem w przyozdobieniu; przód spodnicy ubrany fontaziami *Pompadour* i korunkowemi taśmami ukośnie przyszywanemi; fontazie te są bardzo małe u góry, a powiększają się w miarę jak się zbliżają do dołu; w środku każdego fontazia jest medalionik z chińskiej emalii; stanik gładki; przy gorsie i przy rękawach po cztery fontazie; rękawy gładkie rozcięte na sposób wschodni, i podobnie jak spodnica przyozdobione.

Dużo jest także przygotowanych redyngocików; niektóre z nich tu wymienimy; redyngocik z materii perłowego koloru, którego stanik i poły zapinane z tej samej materii fontaziami, w pośrodku których znajduje się mała stalowa sprzączka lub jaki drogi kamień; rękawy gładkie, czworobocznie rozcięte, a zpod nich wystają białe tarlatanowe. Inny, niemniej także ładny redyngocik jest z jedwabnego sukienka stalowego koloru; stanik gładki z taczkami zachodzącemi aż na biodra; rękawy gładkie z klapami; redyngocik ten obszyty jest wkoło galonami jedwabnemi.

Co się tyczy kapeluszów zdaje się iż tak nazwane kapelusze *Pamela* będą miały tego lata pierwszeństwo nad innemi, obawiają się nawet czy kapelusze *à la Clarisse Harlowe*, niebędą musiały zejść całkiem z pola. Z przygotowanych do *Longchamps* wymienimy niektóre: kapelusz z liliowej krepy przyozdobiony białym tiulem, co należy do nowości i do dobrego smaku; na boku przypięta jest gałązka kaktusowa. Kapotka z materii *poult de soie*, której krój krągły i wdzięczny przyjętym będzie od wszystkich młodych i ładnych mężatek. Dla młodych panienek przeznaczone są kapotki tiulowe, z tiulową półzasłonką w równe fałdy ułożoną, i przypiętą po obu bokach kani fontaziami ze wstążki.

Stroje męskie. Jako zwiastuny strojów które się pokażą w *Longchamps* zajmują dziś powszechną uwagę następujące: frak *à la Française* z klapami wązkiemi a dochodzącemi aż do połów tak że dziurki od guzików są wszystkie w klapach. Kołnierz i klapy są zaokrąglone; stan długi i wcięty; poły są wązkie i zaokrąglone.

Spodnie są fałdowane, i z lampasami po bokach; strzemiączka przyszywane i szerokie.

Kamizelki na dwie strony zapinane.

Rycina przedstawia: suknię ubraną frędzlami. Druga suknia fularowa z dwoma falbanami wycinanemi w zęby; gors sznurkami obszyty. Trzecia su-

knia materialna i frak do przechadzki z zaokrąglonemi połami.

FERDINANDO EBOLI.

POWIEŚĆ.

W cichych czasach pokoju zapominamy dzikie pochody i zadziwiające wypadki wojny. Imiona bohatyrów europejskich, jako starożytności odziedziczają nasze wnuki. Owe czasy mają fizionomią przypadkową. Podróżni słyszą w owych okolicach, które wojna za swoją widownię obrała, dziwne i pełne cudów powieści, które więcej bajeczne jak prawdziwe być zdają się. Bierzemy wprawdzie wielki udział w powieściach takowych wypadków, lecz nasuwają się nam często powątpiewania o wierności opowiadacza. Takie było moje położenie słysząc w Neapolu niniejszą historię. A chociaż główne osoby, w tej powieści zawikłane, nie bezpośrednio od wojennych wypadków zawisłe były, można jednakże śmiało twierdzić, iż w czasach pokoju całkowicie inaczejby wypadło.

Gdy Karol V. po bitwie pod Pawią, swoje wojska włoskie zaciągał, udało się kilku młodych z szlachty którzy przedtem wesoło i spokojnie uprawą winogradu zajmowali się, wirem zbroii wojennej i pragnieniem za wojskową chwałą porwani, pod jego znaki. Między temi, znajdował się także młody hrabia Eboli. Ojciec tego młodego szlachcica, udał się spowodowany nieszczęściem, które Franciszka I. spotkało, do Sycilii. A ponieważ dobra jego ponajwiększej części w okolicach Salerno leżały, starał się je swej rodzinie zachować, zważywszy, że rząd hiszpański coraz więcej w jego ojczyznie utwierdzał się. Były chwile, w których on sprzymierzenie z Franciszkiem boleśnie uczuwał. Umierając polecił swemu synowi powrócić do Neapolu, i radził mu do Markiza Spina swego najstarszego i najwierniejszego przyjaciela, któren pod Karolem Lanoy, wice-królem Neapolu znaczny urząd piastował, przyłączyć się, aby pojednanie z nowym panem temłatwiej mógł osiągnąć. Wszystko poszło według życzenia. Młody, dobrze wychowany hrabia, wstąpił znowu w posiadanie dóbr ojcowskich, i był, aby swoje szczęście uwieńczyć, z jedyną córką Markiza zaręczony. Połączenie miało aż po ukończeniu nadchodzącej wojny nastąpić.

W tym czasie zaczęły się już wojska poruszać. Hrabia Eboli uwolnił się na kilka godzin, aby we Willi swego przyszłego teścia, z swoją narzeczoną się pożegnał. Willa leżała na północ od Salerno przy Apeninach, zkąd można było doliny od Kalabrii obejrzeć, a wzrok błądził po przyjemnym Pastumo aż po błękitne fale morza śródziemnego. Prostopadle wisząca skała, która jedną stronę pałacu zasłaniała, szumiący strumień leśny, i mały lecz gęsty las czerwonych dębów powiększały przyjemności tego miejsca. Młodzieńczą wesołością i nadzieją prowadzony wdarł się hrabia Eboli na górzystą drogę. Chwile miał policzone, napomnienia i błogosławieństwo Markiza, czułe pożegnanie pięknej Adelindy, które przez błogą łzę większej uroczystości nabrało, były zyskiem tych szybko niknących chwil, dosyć jednakże ważnym, aby myśli o niebezpieczeństwach i przykrościach, męstwem i nadzieją zapalone, spłoszyć. Słońce właśnie się skryło za leżącą w odległości wyspę Iszia, gdy hrabia Adelindy rękę ucałowawszy i jej ostatnie ukłony przesławszy jechał powoli zatopiony w smutnych myślach przez górę, chcąc się dostać na drogę do Neapolu

Adelinda tego wieczora wcześniej udała się do swych pokoi i służbę uwolniła. Była bardzo wzruszoną, gdyż bojaźń i nadzieja miotały jej duszę. Otworzyła szklanne drzwi balkonu, zkąd widok na pagórek i strumień leśny, którego głośny szmer nie raz ją do snu ukołysał. Strumień zasłaniały dęby, których najwyższe gałęzie nad galerią balkonu wisiały. Adelinda oparła głowę, myślała o niebespieczeństwach, które otaczałay jej kochanka, o swojem własnem osieroceniu przez jego oddalenie, o jego listach, o jego powrocie. Wtem słyszy szmer. Czy to wiatr, któren gałęziami dębów kołysał? Jej szal wisiał spokojnie, a na fałdach jej drogich sukień nie widać żadnego poruszenia. Znowu słyszy szmer. Krew uderzyła do serca, a członki zaczęły drzeć. Co to miało znaczyć? Nagle wzruszyły się wierzchnie gałęzie najbliższego drzewa, a uchyliwszy zasłonę, ukazały przy słabym blasku gwiazd ludzką postać, która miała zamiar zskoczyć z swego ukrycia na mur. Zadanie to było trudne. Wtem zabrzmiał miły głos kochanka, a przyjaźne: »Nie bój się« stłumiło wszelką trwogę. Przyszła znowu do siebie; zachwycenie, bojaźń i radość następowały kolejno po sobie. Niebawem widziałeś go obok niej. Jego ramiona mocno ją objęły, z zapalem poprzysiągł jej swoją miłość, a oparta o jego ramię roniła łzy rozczulenia. Okrył jej rękę całusami, a oko z niewymownym zapałem tonęło w ładnej postaci. Uspokoili się nieco i usiedli przy sobie. Tryumf i radość błyszczały w oku Ebolego, a skromny rumieniec okrył jagody Adelindy, gdyż jeszcze nigdy nie była z nim sam na sam, jeszcze nigdy swą słodką namiętność słowy wolnemi jéj nie był objawił. Była to właśnie godzina miłości. Gwiazdy drżały u sklepień swego wiecznego kościoła,

szum strumienia, przyjemne powietrze letnie i mistyczny widok sceny w ciemności się odbywającej, łączyły się, aby niepodsłuchanej miłości, pełnej żądz nadziei skrzydeł użyczyć. Wiele mówili o tem, jak ich serca także w oddaleniu przez ich obojga namiętność, blisko siebie zostawać mogą. Radość przyszłego zobaczenia i nadzieja niczem niezasmuconego szczęścia, stały w oddaleniu zajmującego obrazu, któren pobożne życzenie im utworzyło. Chwila rozdziału przerwała ich słodkie marzenia. Lok tych atłasowych włosów, mówił hrabia, i pochwycił jeden, z pomiędzy wielu uroczo po szyi Adelindy spływających, będzie na mem sercu spoczywał i zasłoni mię przeciw mieczom i kulom nieprzyjaciela. Wyjął swój ostry sztylet, do tak zachwycającego zatrudnienia wprawdzie nie zręczny, mówił Eboli, i uciął lok włosów kochanej dziewicy. W tej samej chwili padło kilka kropli krwi na składne ramię Adelindy. Pytała się z bojaźnią co się stało? Hrabia pokazał jej lekkie draśnięcie na lewej ręce, które własnej niezręczności był winien, nie prędzej pozwolił zawinąć, aż droga zdobycz tej godziny była w bespieczeństwie. Z uśmiechem i pieszczotliwą starannością owinęła wstążką, z swej ręki odwiązaną, ranę. Teraz bądź zdrowa, zawołał Eboli, muszę jeszcze przededniem dwadzieścia mil ujechać, gwiazda wskazuje, że już po północy.

Powrót jego był wprawdzie połączony z niejakiemi trudnościami; jednakże odbył się szczęśliwie. Zwrotka piosnki, która jak dym ofiarny przyjemnie z doliny się wydobywała, oznajmiła pilnie nadsłuchującej kochance jego szczęśliwe przebycie. W szczegóły dokładne tych wypadków nie mogłem się wcisnąć, podaję się to co słyszałem od drugich. Zdarzenia te przypadają w ten czas, kiedy Karol V. tron Neapolitański posiadał i w którym swoje włoskie wojska wybierał. Markiz Pastora, markiz Guast i Antoni Leywa, wszyscy przyjaciele starego Eboli, odgrywali wtedy znaczne role. Hrabia Eboli był jako podporucznik w hiszpańskich pułkach umieszczony i służył z odznaczeniem się; ani okolicy, ani bitwy jednakże w której się odznaczył wymienić nie mogę. Był bliskim stopnia kapitana. Wkrótce po tym wypadku, gdy się w północnych Włoszech znajdował, zażądał go xiąże Bourbon do głównej kwatery, chcąc go w tajnym zamyśle wysłać. Miał się okolicą przez nieprzyjaciela obsadzoną do pewnego miasta dostać, które było w ręku Francuzów. Polecenie mogło tylko w nocy być uskutecznione, a następny dzień był przeznaczony do jego powrotu. Xiąże sam wręczył mu depesze, i dał mu hasło, a młodzieniec z największym zapałem zapewnił że albo uiści położone w nim zaufanie, albo zginie. Noc już była, a xiężyc skrył się na zachodzie, gdy hrabia dosiadł swego ulubionego konia, i w krótkim galopie przez miasto jechał. Puścił się w oznaczonym kierunku drogą poprzek przez pola, które ponajwiększej części winnicami zasadzone były, i starannie omijał główną drogę. Noc była przyjemna i spokojna, cichość i milczenie panowały na ziemi, krwawa wojna zdawała się drzymać, a miłość sama tylko rządziła w tej milczącej chwili. Obrazy chwały przelatywały przed myślami młodego bohatyra. W ich przewodnictwie zaczął swoją podróż, marzenia wojskowych odznaczeń i miłości były jego towarzyszami. Zdaleka odbił się jakiś głos o jego ucho, zatrzymał konia i słuchał. Głosy zbliżały się. Jak tylko mowę francuzką rozpoznał, zboczył z drogi na wprost leżącą scieżkę. Głos nieprzyjacioł dał się znowu słyszeć, a z nim pochód koni. Eboli nieociągał się ani chwili, zlazł z konia przywiązał go do drzewa i skrył się za płot. Tym sposobem myślał ujść. Udało mu się, a po godzinie pełnej nieznośnych trudów przybył nad brzeg rzeki, która odgraniczając dwa kraje, za znak szczęśliwie uniknionego przypadku służyła. Chodził ponad spadzistemi brzegami rzeki, którą gdybybył miał konia łatwo mógłby przebrnąć, teraz atoli przepłynąć zamyślał. Wziąwszy depesze w rękę, rzucił płaszcz i już chciał się puścić w wodę, gdy niespodzianie od nieznajomych ludzi, ukrytych w ciemnej cieni brzegów o ziemię był rzucony. Zatkano mu usta, zawiązano oczy, położono w małą łódź, która jak strzała szybko przeleciała rzekę. Ten wypadek zdawał się być zdawna przygotowanym, tak że żadna inna myśl w nim nie powstała, tylko że był w francuzkiej niewoli. Gdy się nadaremnie w domysłach gubił, przybiła łódź do brzegu. Wyjęto go z łodzi, i jak się z odmiany powietrza domyślał, wniesiono go do jakiegoś domu. Jak z największą starannością i szybkością obdarto go z wszelkiej odzieży i jego obydwóch pierścieni. Jak najcichsze milczenie zachowywano. Przebrali go w inne suknie. Żaden krok nie dał się słyszeć, wkrótce tylko odbił się łoskot wiosła o jego ucho, a w sercu ozwało się uczucie całkowitego osierocenia.

Nie mógł się ruszyć. Jedyna ulga, którą mu zbójcy wyświadczyli, była, że mu zamiast dać kneble na usta, chustką je mocno związali. W tym stanie leżał kilka godzin. Siły umysłowe były w wielkiem wzruszeniu. Wściekłość, zniecierpliwienie, i zawiedzione nadzieje dręczyły na przemian duszę jego. W rospaczy starał się nadaremnie więzy pozrywać.

*

Depesze zrabowane, a chwila, w którejby, swoją przytomnością stratę niejako mógł był naprawić, szybko upłynęła. Ranek zaczął już szarzeć, a chociaż promienie słoneczne oczu jego niedochodziły, czuł jednakże ciepło dnia. Czas ulatywał, a głód zaczął się przypominać, i choć to małe złe zpoczątku ciężarem wielkiego nieszczęścia było przytłumione, zawsze jednakże natura swoją moc przeciw woli ku wieczorowi wywierała. Noc zapadła, a myśl, że w tem opuszczeniu może śmierć go czekała, przedstawiała mu się często w swej całej straszliwości, gdy wtem głos kobiecy i wesoły śmiech dziecięcia usłyszał. Kilka osób weszło do izby, a w chwili, gdy mu chustkę z ust zdjęto, zapytali go w jego mowie o przyczynę tego położenia. Złożył wszystko na bandytów, poczem zdjęto mu więzy i zasłonę z ócz. Potrzebował długiego czasu nim przyszedł do siebie. Naczerpali dla jego orzeźwienia wody z rzeki, a tak przychodził powoli do zmysłów. Teraz postrzegł, że się znajduje w zawalonej chacie pasterskiej. Oprócz dziewczyny i dziecięcia, które go uwolniły nie było więcej żadnego świadka. Nacierali mu kostki u nóg i ręce, a mały chłopczynka podał mu nieco chleba i jaj. Gdy się Ferdinando posilił i kilka godzin wypoczął, był w stanie nad swem nieszczęsnym wypadkiem pomyśleć, i w tem położeniu rzeczy stosowny powziąść zamiar. Oglądnął swój ubiór, zostawiony za zrabowane suknie. Byłoto proste, złe odzienie. Nie miał czasu do stracenia, i umyślił, że w tym razie nie wypada nic innego czynić, tylko jak najprędzej o swojem nieszczęściu i stracie xięcia uwiadomić.

Byłobyto za rozwlekle, gdybyśmy hrabiemu krok w krok w jego powrocie towarzyszyli, i uczucia niechęci i zawiedzionych oczekiwań, które teraz serce jego zajmowały czytelnikom naszym wyszczególniali.

Stroskany na umyśle lecz z odwagą szedł noc całą, koło trzeciej godziny zrana przyszedł do miasta, w którem xiąże miał główną kwaterę. Straż zawołała, dał hasło od dowódzcy mu powierzone, zaraz jednakże był uwięzionym. Żądał usilnie o spieszną z dowódcą rozmowę. Zaprowadzono go do głównej warty, gdzie służbę czyniący oficer z urąganiem słuchał jego sprawozdania, oświadczając mu że hrabia Ferdinand Eboli już od trzech godzin przybył. Oficer od straży kazał go jako szpiega okuć. Eboli oświadczył, iż to może jaki oszust jego imię przybrał. Podczas gdy on swoje przypadki opowiadał, przyszedł inny oficer, któren go poznał. Przyszło jeszcze kilku innych, którzy jego świadectwo uznali, a że oszust tylko od tego oficera był widziany, któren wartę przez noc miał, nie wątpił teraz już nikt o prawdzie opowiadanego przez hrabiego wypadku. Starszy oficer, młody Hiszpan, któren rano u xięcia miał służbę, zawiadomił go o wszystkiem co się stało dokładnie. Ten wypadek tak był osobliwym, że xiąże młodego hrabiego zaraz przywołać kazał, chociaż go przed kilku godzinami widział, i sprawozdanie o wiernie wypełnionej posyłce z jego ust słyszał, zmięszał go jednakże widok młodego człowieka tak dalece iż zaraz rozkazał, aby hrabia Eboli, któren przed kilką godzinami od niego wyszedł natychmiast się ukazał. Ferdinand stojąc obok xięcia obejrzał się ukradkiem w wielkiem i świecącem przed nim wiszącem lustrze. Jego zburzony włos, oczy krwią zabiegłe, podarte i ubogie odzienie, zdobiły jego szlachetną okazałość, lecz mimo to był on nie mniej tym dumnym hrabią Eboli; gdy oto z jego największem zadziwieniem, drugiego obraz przed nim stanął. W jego powierzchowności widać było całkiem tego oznaczonego wysoce urodzonego pana, i przedstawiał tego, za którego się udawał tak dokładnie, iż odróżnić ich bardzo trudno było. Jeden i ten sam ciemnobrunatny włos spadał w lokach po jego skroniach; te same żywe ciemne oczy; a głos jednego był odgłosem drugiego. Szlachetna postawa pretendenta rozstrzygnęła na jego stronę. Gdy mu o osobliwszem ukazaniu się drugiego hrabiego Eboli opowiadano uśmiechnął się w wesołym tonie, zwrócił się do Ferdinanda i mówił: Robisz mi pan wielki honor przybierając moję imię, lecz jest dwie lub trzy rzeczy, które bardzo u siebie lubię i przez które w ofiarowaną zamianę mej osoby wejść nie mogę. Ferdinando byłby odpowiedział, gdyby się mniemany hrabia z odważną dumą nie był odwrócił do xiążęcia i powiedział: Niech wasza wysokość między nami rozsądzić raczy, gdyż mi nieprzystoi, z człowiekiem tego sppsobu myślenia spór prowadzić. Ferdinando nie mógł znieść tej zniewagi. Prosił o pozwolenie wyzwać pretendenta na pojedynek. Ten odpowiedział: że jeżeliby xiąże i korpus oficerów byli tego zdania, że pojedynek z prostym włóczęgą, jego honorowi uszczerbku nie przynosi, odważy się, ukarać go, chociażby to z niebespieczeństwem jego własnego życia stać się miało. Gdy się dowódzca po kilku pytaniach przekonał, że ten nieszczęśliwy młody człowiek jest oszustem, przedstawił mu w ostrym i grożącym tonie jego bezwstydność i oświadczył, iż to tylko łasce ma dziękować, że nie każe z nim jako ze szpiegiem postąpić. Rozkazał natychmiast oszusta za miasto wyprowadzić i groził mu najsroższemi karami, gdyby jego oszukaństwo, jeszcze raz pod śledztwo przyszło.

Trzebaby w samej istocie mieć bogatą fantazię i

przeżyć najsroższe doświadczenia życia, chcąc się w uczucia Ferdinanda przenieść. Z szczęśliwego położenia, jakie wysokie urodzenie, sława, nadzieja i miłość dają, został mu kij żebracki i niełaska. Obrażająca mowa rywala i wielce dotykające groźby niedawno tak łaskawego xięcia, cisnęły mu się rażąc z przerażeniem w pamięć. Wszystkie nerwy drzały, a jego czucia odbywały walkę śmiertelną. Łatwiej możnaby cierpienia życia znosić, gdyby szczęśliwym sposobem najokropniejsze nieszczęśsie, które w pierwszej młodości doświadczamy ciemnym marzeniom podobne były, które jak tylko sen powieki nasze zamknie, od nas odtrąciliśmy.

Dokończenie nastąpi.

WYJĄTEK Z DRAMATU
pod tytułem
WANDA.
Akt V. Scena II.

Bogów gaj.
Stróże ognia. Wieszcz.

WIESZCZ.
Dorzuć polan do ogniska
I rozdmuchaj głownie w niem;
Bo iskrami jeno pryska
Czarny z siebie bije dym.

Stróże biegną do ogniska.

Czujno i baczno, to strażnicze hasło,
Pożałuj nocy i dziennego trudu,
Biada, ognisko gdyby nam zagasło,
Światby się zaćmił od żałoby ludu.
Niedolę naszą odjęknęła ziemia,
Ongi na puszczy jęczenie słyszano,
I leśnych wężów syk przeraźliwy,
Gdy onegdajsze wschodziło rano,
Krwawą porosą świeciły niwy;
Noc tlała gwiazdą jasnej pogody,
Porankiem mętne płynęły wody;
Złe przepowiednie, a naród na wojnie;
Na smutne wieści, czekam niespokojnie.

STRÓŻ (*wchodzi*)
Niewiasta idzie,
Szare jej odzienie,
Kosz na swem ręku, na twarzy cierpienie
I smutek niesie. (*wchodzi niewiasta z koszem*)
Pozdrawiamy ciebie.

WIESZCZ.
Smutna niewiasto!
Mów, w jakiej potrzebie
Nie rano wchodzisz do bogów gaju!
Żądasz zielonej gałązki maju
By nią świetlicę twoją uścielić?
Może ci świętej iskry udzielić?
Jesteś strudzoną, na chwilę odpocznij.

NIEWIASTA.
Czas który czarną godzinę niesie,
Nie odpoczywa.

WIESZCZ.
Jesteś w świętym lesie
Żądasz porady od świętej wyroczni?
I któż ty jesteś niewiasto żałośna?
Mów,

NIEWIASTA.
Jestem matką,
A syny moje
Zabrała wojna.
Dopiero im wiosna
Życie rozwija, już poszli na boje,
Jeszcze ich ręce miękie do oręża,
Jeszcze im strzały, jeszcze łuka niebrać,
Klnę Burzywoja, klnę srogiego męża;
Srogi! dał dzieci, aby je odebrać;
Syny! miłuję was moją tęsknotą,
Tyle was w mojem szczęściu nie kochałam,
Miłuję trwogą; miłuję was moim
Smutkiem, i niepokojem;
Miłuję dłońmi, które załamałam;
Miłuję łzami, któremi płaczę,
Może już synów moich nie obaczę!!

WIESZCZ.
Niewiasto myślą trapiona ciemną,
Straszysz się troską może daremną;
Idź do przybytku; do twojej strzechy
Poniesiesz słowo słodkiej pociechy.

(*Stróż odprowadza niewiastę*)

Męże na wojnie, a w pustych chatach
Sieroctwo niewiast tęskni i kwili;
Ta burza wojny, nim się przesili
Pójdzie wywrotem po dębach i kwiatach.

Scena III.

Wchodzi Żegowit, za nim pachoły niosą proporce, miecze, sajdaki i zbroje.

WIESZCZ.
Zkąd idziesz mężu?

ŻEGOWIT.
Z gorącego pola.
Na którem leżą dziś zimne trupy.

WIESZCZ.
Z wojny? nam powiedz, czy nam niedola
Czy radość padła?

ŻEGOWIT.
Niesiem mnogie łupy
Bogom w podziękę za dobre żniwo;
Cały snop mieczy i puklerzy.

WIESZCZ.
Trąba mosiężna niech w radość uderzy!
I sławi Lade za walkę szczęśliwą;
Idźmy więc; bogom, przy świętym dębie
Złożymy dary waszego męztwa,
I dzięki nasze za dar zwycięztwa
Atoli powiedz, wracasz z bojowiska?

ŻEGOWIT.
Walka stoczona, powracam z pastwiska
Gdzie się wypaszą kruki i jastrzębie.
Jak do nas przyszło, zwycięstwo opowiem.

WIESZCZ.
Wesołą duszą posłuchamy ciebie;

ŻEGOWIT.
Świt się zabielił na niebie
A w lasach jeszcze leżała ołowiem
Noc; spokojnie, bez trzasku,
Spuszczał się obóz ku łanom,
I w cisowym stanął lasku
I zajrzał w oczy wrogom Markomanom;
Bo na lot strzały, przed nami burzący
Leżał ich tabór, ze snu się budzący.
Stanęło na radzie i zgodzie,

Będziemy strzałami w twarze im pluć
A razem boki oszczepem kłuć,
Skoro nasz oszczep ich ławę przebodzie
W tenczas na miecze ich wziąść,
Rozłamać i strząść!
Zaczem z prawego Ziemko podchodząc
Leśną zatoką prowadził lud
Wilg wziął lewicę; zaroślą brodząc
Gromadę swoich gorali wiódł,
Z nim poskoczyli pełni ochoty
Burzywojczyki. Na miecze groty,
Biegli młodzianki na śmierci pole
Jakby na pustą biegli swawolę.

Ale już ranek wschodził błękitno,
Ujrzał nas wróg i wraz
Zhufczył się raźno, i stanął bitno,
I stał, jak w ziemie wrośnięty las;
W tem od lewego uderzył krzyk;
I szczęk żelaza i gardła ryk,
I oto z leśnej uboczy
Wilg się wysunie, w pole poskoczy
Za nim trzask i wrzawa
Za nim jego czerniawa
Jako ślepy rój
Leci na wroga, rzuca się w bój,
Lecz Markomanów żelazny mur,
W czarne roztworzył się gardło
Co Wilga z jego ludem pożarło,
Do swoich porwało nór,
A huf rozcięty, znowu się splótł
W żelazny płot.
Wtenczas pewietrze strzałami zaświszcze
Wtenczas Burzywoj z swym młotem skoczył,
Wtenczas królowa, wtenczas już wszyscy
Wtenczas już cały obóz się potoczył,
Jak nawalnica kiedy leci z chmur;
Iście pierś twardą miał ten mur,
Lecz tam Burzywoja młot
I walczył i grzmiał,
I wnet rozłamał płot
I wśrodek wszedł; olbrzymią rękę miał
A zemstę okropną;
A w tem Ziemkowi z prawego kopną,
I była rzeź....

WIESZCZ.

Czołem się połóżmy;
I na ołtarzu te łupy złóżmy
I sławmy Lade! bogi dały męztwo
Wojom: krajowi wielkie zwycięztwo!
Bogom dziś sława, nam radość.

ŻEGOWIT.

Aliści
Nigdy się dola ludzka zamącona
Burzą w wojną, tyle nie oczyści,
By nie została na dnie kropla mętu,
Wanda królowa, dla nas to zagadka
Czy krew, co liście pokropiła kwiatka?
(Bo trupy wrogów na rumiankach leżą)
Zaczem niewiedzieć, czy nabrała wstrętu
I żalu razem widząc taką świeżą
Czerwoną rosę na tych kwiatach leśnych
Smutku jest pełna i myśli boleśnych;

WIESZCZ.

Wanda królowa już wróciła w miasto?

ŻEGOWIT.

Już powróciła, lecz smutna niewiasta
Biegła na wojnę jako mąż wesoła;

WIESZCZ.

Smutek królowej, któż odgadnąć zdoła?

STRÓŻ.

Niewiasta idzie;

WIESZCZ (*do niewiasty*)

Oto mąż dostojny
Co wraca z walki gdzie sam znamienicie
Czynił

NIEWIASTA.

Przynosisz śmierć? czy życie?
Powiedz, co niesiesz z tej wojny
Matce? która jęczy za synami;
Mów, mów, człowieku, nie czyń mi
Milczeniem dłuższych boleści.

ŻEGOWIT.

Kto jesteś?

NIEWIASTA.

Matką, co pragnie wieści
O synach, Burzywoja żona
Na łożu męki położona

ŻEGOWIT.

Niewiasto! dobrą wieścią cię obdarzę;
Burzywoj walczył, a w bojowym zarze
Iskry mu tylko biodro obsypały;
I wyszedł z walki czerwony, lecz cały;
Jak rozpalone żelazo błyszczy
Jego twarz
Oto niewiasto szczerą prawdę masz.

NIEWIASTA.

A syny moje? mów, jeżli masz serce;

NIEGO.

Synowie twoi pomszczeni, wszyscy;
Legli twych synów morderce;

NIEWIASTA.

Co? co? pomszczeni!
Ja nie zemsty pragnę,
Ja synów wołam moich
Gdzie oni?
Czy ty nic nie widzisz na mojej skroni?
Mój strach.
Ja straszna! do kolan się nagnę,
Twoich
Wróć synów; jeżeli
Ty synów miałeś!

ŻEGOWIT.

Wam rzekłem; zginęli
Na polu walki, imię ich zabłyszczy
Razem, bo razem pokładli się wszyscy.

NIEWIASTA.

Wszyscy zginęli!!!

WIESZCZ.

Zapłacz nieszczęśliwa
Matko, ta boleść co serce przeszywa
Łzą się rozleje; łzy twoje na chuście
Ofiaruj bogom, bo łzy to kwiaty
Drzewa boleści

NIEWIASTA.

O puście mnie puście,
Idę rozdzierać na sobie szaty,
I tak rozdarta siędę, a głowę
Oddam wiatrowi niech ją wiatr rozdziera;
Wszyscy zginęli! Powietrze morowe
Po jednem dziecku matkom zabiera,
A wojna wszystkich synów mi wydarła!
Syny nie żyją! a jam nie umarła!!
Klnę ciebie wojno! coś dzieci mnie wzięła!
Słuchajcie; z lasu pospadają liście,
Z liściami spadnie Wanda.
Słyszeliście
Teraz, oh teraz jam Wandę przeklęła!!

(*Grzmi i łyska się.*)

WIESZCZ.

Niewiasto! hamuj twój żal nierozumny.

NIEWIASTA.
Jużem przeklęła.

WIESZCZ (*do stróża*)
Odprowadź kobietę
Gdziekolwiek pójdzie;

NIEWIASTA.
Do mojej trumny
Idę; me dzieci zabite! zabite!

(*Wychodzi ze stróżem. Słychać grzmoty i wichry*)

WIESZCZ.
Straszna w swym smutku.
O sroga jest wojna
Choć wieńcem sławy i zwycięztwem strojna
Po której ziemi przechodzi, rozdepce
Niejedno szczęście, co kwitło w pokoju;
I mnie żałośny głos przeczucia szepce.
Królowa smutna? rzekłeś chrobry wuju;

ŻEGOWIT.
Nadchodzi burza! wiatr roztarga las!

(*Słychać głos żałobnej trąby przeciągły; wpadają stróżowie i słudzy ognia*)

I. *stróż* Biada.
II. » Nieszczęście.
III. » Żałoba.
IV. » Niedola.

(*Wszyscy potrwożeni*)

(*Wychodzi najstarszy kapłan z długą siwą brodą, staje w pośrodku przestraszonych, podnosi obydwie ręce w górę i mówi.*)

Twarzą na ziemię, padajcie czołem!
Czoło i ciemię nakryjcie popiołem
Z świętych drzew,
Nad Lechią, bogów zawieszony gniew.

(*Grzmi i szumi*)

Słyszycie, w tej chmurze grzmi,
Widzicie, jak wtrząsa las,
Zamykam świątyni drzwi
Bo święty nasz ogień zgasł!!

A. G.

TEATR.

Do najnowszych nowości sceny polskiej należy *Maria Joanna, kobieta z gminu*, dramat pp. Dennery i Mallian, przez Wincentego Thullie tłumaczony, a dwakroć już przedstawiony u nas. W dramacie tym *Maria Joanna* jestto uosobienie miłości macierzyńskiej posuniętej do najwyższego zapału, uszlachetniającej prawdziwością swoją kobietę z gminu, która nią natchnięta staje się bohatyrką godną dramatu. Ułożenie dramatu tego, jak i innych tegoczesnych utworów dramatycznych jest zgrabne, przeplecione położeniami drażliwemi, temi *coups de theatre*, zastępującemi dzisiaj wzniosłą prostotę dawnej tragedii, której piękność spoczywała w wielkiej a olbrzymiej walce z przeznaczeniem u Greków; z namiętnościami w Szekspirze, Szyllerze i innych twórcach tragedii towarzyskiej. Zawikłanie intrygi w rzeczonym dramacie jest dosyć słabe, odkrywa się bowiem widzowi od początku, i każe mu postępować krok w krok za zdarzeniami, któremi autorowie cieniują obraz uczucia matki. Mimo to utwor ten dramatyczny miał wielkie powodzenie w Paryżu i innych teatrach zagranicznych; jakoż inaczej być nie może: osnowa bowiem dramatu silnie trafiać musi do licznej a przeważnej części każdej publiczności... do kobiet a matek, które to uczucie miłości macierzyńskiej rozumieją należycie, niem bowiem same przejęte, wierzą i podziwiają ten zapał Marii Joanny, której wykradziono dziecko z domu podrzutków, i dla osobistych powodów innej oddano matce. Jak powiadam, dramat ten jestto raczej obraz uczuciowy niżeli dramat zawikłań i intrygi, a przecież ładnie i zgrabnie osnuty jest mianowicie akt czwarty w którym Maria Joanna oddana do domu wariatów staje naprzeciw możnego i przewrotnego przeciwnika swego, zwycięża przecie zwrotem robiącym zaszczyt autorom. Tyle o treści tej sztuki. A więc z kolei wypadłoby coś powiedzieć o grze artystów, a mianowicie o grze pani Aszperger, która jako Maria Joanna główną w niej miała rolę. Lecz to sprawozdanie nie jest bez niebespieczeństwa, jak to świadczy długa odpowiedź pani Aszperger (w nadzwyczajnym dodatku do nru 50 gazety Lwowskiej) na sprawozdanie w *nowinach* o tejże sztuce, w której zgromiony został pan Nowiniarz przez panią artystkę, i to tak dalece że artykułowi jego nie przyznano nawet nazwy recenzii. A pocieszną byłoby też rzeczą gdyby ów nowiniarz chcąc się w replice jakiej odwetować artystce, nazywał ją ciągle z umyślną przesadą aktorką, a sam się podpisał »recenzentem« co zaprawdę byłoby równą śmiesznością rozsądnej uwagi niewartą jak ten artykuł artystki do nowiniarza. Wprawdzie kto słyszał panią Aszperger Polkę podobno, mówiącą dobrze po polsku, przyzwyczajoną do władania dobrym językiem Korzeniowskiego lub Fredra, mógłby czytając rzeczoną odpowiedź (do której odsyłam łaskawych czytelników) wpaść na tę myśl, że do tego artykułu pożyczył jej wielbiciel jaki pióra swego, po którem, choć niby po polsku pisze, możnaby się domyślać nie swojskiego pochodzenia. Bo też to zaprawdę łatwiej przyswoić sobie nazwisko, a nawet z pewnego przycisku uwolnić język pokojowy, towarzyski, niżeli władać mową pisaną, której pierwsze i główne początki u rodzinnej już pobierają się kolebki. Bądź co bądź, czyli ta odpowiedź jest samej pani Aszperger, czyli grzecznego jakiego jej adwokata, dobrześ zrobił biedny panie nowiniarzu żeś zamilkł, bo walcząc z wiatrem próżnych słów, jaki wieje w estetycznej rozprawie o trudności tej roli, stałbyś się biedaku Don-Kiszotem uderzającym na wiatraki. I nawet wątpię byś co powiedzieć potrafił

na to sprytne rozróżnienie roli cieniowanej rozmaicie od roli jednolitej; wszak artystka dowodnie nowiniarza przekonywa, że rola jednostajna, w której zapał i głos przechodzi jakby przez gammę jednej oktawy, trudniejsza jest od roli cieniowanej uczuciami do której artysta potrzebuje całej skali uczuć. I fizycznie rzeczy biorąc jest w tem prawda, jużci krzyk choć prosty ale silny więcej zmęczy piersi niżeli mowa uczuciami lekko pofalowana. Wedle tej arcytrafnej teorii o trudności ról, rola Marii Joanny, która jak zwyczajnie kobieta z gminu od początku do końca to głośniej to ciszej wykrzykuje rozpacz matki, rospacz którą tem łatwiej oddać, im ją łatwiej każdy a osobliwie każda zrozumie.. że ta tedy rola trudniejsza jest od roli naprzykład Marii Stuart, w którejby takie mnóstwo oddać półcieni uczuciowych, trzeba artystki, któraby miała wszystkie te uczucia w swej duszy. Owoż w tem spoczywa szlachetność wrodzona artystki, która się rutyną naśladuje, ale nie nabywa; ta szlachetność, której braku chociaż nowiniarz artystce nie zarzucał zupełnie, ona się z niego broni przecie, jakby idąc za przysłowiem »uderz o stół, itd.« Szlachetność taka rutyną niedosięgnięta nie spoczywa w powierzchownych oznakach jakich, ale w usposobieniu duszy, ale w wychowaniu początkowem, ale w całym ciągu życia, jakie prowadzi artysta lub artystka. Szlachetność trzeba mieć w sobie, a wyjdzie ona gdy tego będzie potrzeba na jaw na deskach teatralnych; trzeba ją mieć wkoło siebie w związkach swoich, a obwiewać będzie artystę lub artystkę na scenie, i wszystkich przekona, i wszystkich zachwyci mimo usterków przeciw rutynie.... Inaczej objawia się kobieta występująca ze środka uczuć domowych, rodzinnych, tych uczuć świętych, które starzy uczcili siedliskiem bogów domowych, inaczej zaś z grona różnorodnych wielbicieli wędrowczą nogą przebiegających przez wonny i gościnny buduar. Inaczej oku ciała i oku duszy pojawia się poważna *matka Grachów*, inaczej ta piękna i cudowna *Lais*.... Lecz to tu nie należy; jest to tylko próbka teorii o szlachetności w artystce, którą niepotrzebnie dotknęła artystka niezaczepiona zupełnie w tym względzie przez nieszczęśliwego nowiniarza. A jeżeli nowiniarz nie widzi w pani Aszperger nic innego prócz rutyny? wszak to tylko zdanie jego prywatne! maż ono być grzechem?... wszak jak sama sobie to przyznaje pani Aszperger, ma za sobą całą publiczność, a więc mniejsza o jakiegoś tam nowiniarza!... Kończę zatem ten i tak za długi artykuł tą jeszcze uwagą, że w tej odpowiedzi jedna wielka mieści się prawda. Oto »nie mamy organu dla krytyki« Tak jest... niemamy organu słuchu.. nie chcemy słyszeć krytyki!... Tę tylko krytykę uznajemy za dobrą która to chwali lub gani co sami lubimy lub nienawidzimy. Co jest stronniczego to nazywamy w krytyce bezstronnością, a bezstronność to... oczewiście stronnicza! I tak kto chwali naszych dawnych zasłużonych artystów, na tego nowa generacia artystów w krzyk... to uprzedzenie!... Chwal Elżbietę, przepadłeś u Marii Stuart! A co gorzej jeszcze dla krytyki teatralnej, i dla krytyki w ogóle, że u nas nim się zastanowią nad rzeczą, szukają osoby zaraz. Pierwsze słowo po przeczytaniu recenzii, nie będzie zdanie o niej, ale »kto też to napisał?« A że nasze miasto nie wielkie, nuż więc do osobistości! nuż szukać powodów! nuż ezwałować po stepach domniemywań i domysłów!... A teraż wracając do ocenienia gry artystów w tej sztuce, powiedzieć trzeba że wszyscy prawie mianowicie pp Smochowski, Rejmers, a nawet Dawizon grali dobrze i starannie. Pani Aszperger grała mianowicie za drugim razem z wielkiem uczuciem i prawdą. Osobliwie w akcie czwartym do żywszego oddania wyżej wspomnionej sceny przyłożyła się niepospolicie jej gra; przy pierwszem nawet przedstawieniu scena ta nie tyle się wydała z tego właśnie powodu, że po trzecim akcie dostała pani Aszperger spazmów, które ją mocno osłabiły... co szczerze wyznam, chociażby mnie to miało wystawić na nowe gromy pani Aszperger, jest niewesołą rzeczą dla publiczności... A co w tem powiedzeniu jest złego? niewiem prawdziwie, a przecież jak kapitalnie za te słowa został pan nowiniarz zgromiony przez panią artystkę!... Wszak zaprawdę nic złego niema w spazmach, a osobliwie jeżeli, jak artystka twierdzi, pochodzą z pracy i natężeń... umysłowych!...

Józef Dzierzkowski.

☞ Przybyła niedawno do naszej stolicy panna Florentyna Bogdani, która niegdyś zostawała jako spiewaczka przy teatrze hermansztadzkim a kształciła się w Wiedniu i dawała tamże koncerta, ostatniemi zaś czasy była pierwszą spiewaczką przy taatrze krakowskim; ma ona teraz zamiar zostawania dłuższy czas we Lwowie i dawania lekcij spiewu po domach prywatnych.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.